

Kiedy ma się rodziców, dziadka, ukochaną parę
dżinsów, martensy i własny pokój – życie wydaje
się całkiem znośne i Buba o tym wie. Ale Buba to
gracz, który walczy o najwyższą stawkę, jaką jest
rodzinne szczęście. Bo Bubie do szczęścia
potrzebne jest zawsze szczęście innych.

BUBA



BARBARA
KOSMOWSKA



Autorka książek dla młodzieży. Absolwentka filologii polskiej na
Uniwersytecie Gdańskim. Pracuje na stanowisku adiunkta
w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku.
Autorka książek dla dorosłych i młodszych czytelników.
Laureatka pierwszej nagrody w konkursie na „Dziennik polskiej Bridget
Jones” za Teren prywatny. Jej powieść dla nastolatek Buba wygrała
konkurs „Uwierz w siłę wyobraźni” i została nominowana do
Nagrody Polskiej Sekcji IBBY „Książka Roku 2003”.

MBP Gieszanów
Buba /



M000008101

lkowa.pl



plus minus
16

BARBARA KOSMOWSKA
BUBA

plus minus
16



BUBA



BARBARA
KOSMOWSKA





Lodowiec przemówił

Pani Karpowa kupiła kota. Buby nie zdziwiłby nowy sublokator, ponieważ już od początku zimy bliscy krewni kota pani Karpowej, tyle że bez meldunku, rozlokowali się nielegalnie w ciepłych piwnicach. Osobliwość zakupu pani Karpowej polegała jednak na tym, że to ona właśnie wypowiadała (jako jedyna w całym domostwie) wojnę wszystkim dzikim kotom.

– Zapytam ją, w jakim celu nabyła zwierzę – postanowił dziadek, gdy kocia kwestia wyszła na jaw. – Może eksperymentalnym? – próbował dociekać, nerwowo chodząc po mieszkaniu.

– Znaczy, badawczym? – Buba spojrzała na dziadka z niepokojem. – Sugerujesz, dziadku, że kot pani Karpowej będzie poddawany jakimś niecnym praktykom?

– No cóż – dziadek wpadł w ulubiony rodzaj zadumy – wszystko by na to wskazywało. Bo skoro ktoś nie lubi kotów i nie ma dla nich czasu, to zupełnie nie rozumiem po jaką... w jakim celu nabywa skundlonego persa. W każdym razie zamiary pani Karpowej są mocno podejrzane.

– To przerażające – oznajmiła Buba. – Najlepiej zapytać panią Karpową, po co jej ten pers. Mogę to zrobić. W końcu moja drużyna harcerska ma w statucie opiekę nad bezdomnymi zwierzętami.

– Ale pers Karpowej nie jest bezdomny – dziadek był mistrzem w wynajdywaniu problemów.

– Interesują nas wszystkie formy znęcania się nad zwierzyzną. Gdyby więc twoje podejrzenia miały okazać się słuszne...

– Tylko jak to udowodnić? – dziadek najchętniej podjąłby natychmiastowe działania. – Jak dowieść, że biedne kocię dostało się w szpony wampirzycy?

– Tego jeszcze nie wiemy – Buba, zdaniem dziadka, okazywała nadmierny spokój. Miał jej to za złe, bo spojrzał na wnuczkę tak, jakby złapał ją na gorącym uczynku obcinania kotu ogona.

– Zrozum, jeśli natychmiast nie zajmijemy się tą sprawą, kot może zostać martwym kotem i to ty – wskazał na Bubę trzęsącym się palcem – przede wszystkim ty będziesz go miała na sumieniu.

Buba nie zamierzała mieć na sumieniu jakiegokolwiek zwierzątka, a cóż dopiero małego kotka, którego udało jej się pogłaskać, gdy wczoraj na klatce schodowej ocierał się wdzięcznie o nogi nowej właścicielki.

– Dobra. Idę – zdecydowała z determinacją. – Skoro jesteś taki niecierpliwy, wyjaśnię to natychmiast. Ale chcę, żebyś wiedział, że gdy pani Karpowa wynosiła kota na spacer, wcale nie wyglądała na zbrodniarkę. Przeciwnie. Po raz pierwszy widziałam, jak się uśmiecha.

– Zastanów się lepiej nad inteligentnym wywiadem – poradził dzidek, wciąż prezentując zagadkową minę. – Ona może cię zwodzić. Sprawdź też, czy nie ma narzędzi tortur. Na przykład w kuchni.

Schody prowadzące do mieszkania pani Karpowej były tego dnia jak schody wiodące do piekła. Buba szła nimi i szła, ociągając się przy każdej okazji. A tych nie brakowało. Najpierw zatrzymała się przy drzwiach państwa Misiorków. Zwróciła uwagę na wyrafinowaną złotą wizytówkę, zapowiadającą że tu, za cienkimi deskami sosny, mieszka dwóch magistrów przemysłu drzewnego. Skrzywiła się. Doszła do wniosku, że

Misiorkowie trochę przesadzili z tymi zwierzeniami, w sam raz do ankiety CV. Bo kogóż mogło obchodzić, że pani Misiorek z panem Misiorkiem spędzili najlepsze lata na studio-waniu procesów tartacznych.

Buba obiecała sobie, że na drzwiach do jej mieszkania nie będzie żadnych tytułów, zawodów, nazwisk ani judaszy. Żadnej śmiesznej informacji. No, chyba że przypnie sobie wizytówkę z napisem „Buba”.

Po chwili wkroczyła w gęstą dżunglę. Na wąskim półpiętrze pan Kopiszko zgromadził potężną kolekcję fikusów i difenbachii. Prawdopodobnie każda roślinka przekraczająca wysokość metra była relegowana z malutkiego wnętrza mieszkania Kopiszków i skazywana na chłodniejszy klimat korytarzowego Sybiru. Tu, w towarzystwie innych przerośniętych i apatycznych palm, mogła kontynuować dzieło rozrostu. Tym razem ograniczone pułapem klatki schodowej. Przebrnięcie przez dżunglę stało się coraz trudniejsze i rodzina Buby zastanawiała się już nad możliwością dalszego transferu smutnych fikusów.

Drzwi pani Karpowej wyróżniały się z kolei bogatą drewnianą sztukaterią. „Są ludzie, którzy lubią pokazywać, że nie mają pomysłu na wydawanie pieniędzy” – mawiał sentencjonalnie dziadek, gdy po spacerze stawał przy tych drzwiach, aby ochłonać. Teraz Buba znalazła się w tym samym miejscu i próbowała ochłonać. Przeszkodził jej w tym zgrzyt klucza w zamku i nie spodziewanie stanęła oko w oko z panią Karpową i jej kotem.

– Nic mu nie jest? – zapytała z głupia frant i wyciągnęła rękę, aby dotknąć lśniącego futerka.

– Sama nie wiem – pani Karpowa, kobieta zwykle energiczna i pewna siebie, wydawała się zaniepokojona. – Bardzo miauczy. Tak przeraźliwie, jakby go coś bolało. Dzisiaj przechodzimy na whiskas, więc...

– Pani też? – zdumiała się Buba.

Słyszała, że właściciele kotów upodabniają się do swoich podopiecznych, ale żeby aż tak?

– Ależ, Bubo – zaoponowała pani Karpowa – tak się tylko mówi. Stosuję się ściśle do zaleceń weterynarza i książki. A to oznacza, że mój kotek powinien już jeść bardziej urozmaicone posiłki.

– Nie sądziłam, że pani lubi koty... – ta sondująca panią Karpową słowna strzała została wypuszczona niby obojętnie, ot, tak, ale Buba cała zamieniła się w słuch i czujnie obserwowała sąsiadkę.

Pani Karpowa spochmurniała.

– Ja też nie sądziłam – odparła ponuro. – Dopóki nie dostałam tego persa w prezencie. Powiem ci, Bubo, więcej – nachyliła się do Buby ucha. – Organicznie nie znosiłam kociego smrodu. Ale teraz? – przycisnęła prezent z całych sił do piersi. – Teraz nie pozwoliłabym mu zrobić krzywdy.

– To lepiej go wypuścić – doradziła przytomnie Buba – bo on gotów się udusić.

– Nie obawiaj się. Oboje mamy taki współczynnik przytulności, że nie zrobimy sobie krzywdy – pani Karpowa pochwaliła się Bubie paskiem czerwonych dziąseł, ukazujących się przy każdej próbie uśmiechu, i Buba pomyślała, że ją lubi. A nawet, że bardzo ją lubi.

– To, dziadku, twoja wina. Wzbudzasz we mnie tyle nieufności do ludzi, a potem wychodzę na idiotkę.

– Wyszłaś na krótki spacer, nie na idiotkę – ironizował dziadek. – Teraz możemy być spokojniejsi – uznał, opychając się chrupkami.

– Spokojniejsi?! – wykrzyknęła Buba. – Pani Karpowa kocha tego kota! Nie pamiętam, żeby ktoś mnie tak przytulał – chlipnęła trochę spóźnionym chlipnięciem.

– Przytulał, przytulał – dziadek poklepał wnuczkę po policzku – jak byłaś takim małym kotkiem – uśmiechnął się do niej. – Skoro jest, jak mówisz, idę do piwnicy – zgarnął z paczki resztę łakoci i zdecydowanie wstał.

– Akcja „miska”? – zapytała Buba szeptem, choć byli w pokoju sami.

– Zgadza się. Teraz niestraszna mi pani Karpowa. Możemy dokarmiać wszystkie dzikusy z okolicy.

– Pod warunkiem że wynegocjujesz od Bartoszowej mleko – przypomniała Buba o ostatniej przeszkodzie.

– Ona zamilkła, więc się nie wtrąci – zapewnił dziadek i krokiem obrońcy dzikich zwierząt ruszył na podbój kuchni.

W piwnicy czuć było stęchlizną, a brudna żarówka skąpo oświetlała ponure bliźniacze komórki. Buba drżała o z trudem zdobyte mleko, które w rękach dziadka wcale nie było bezpieczne.

– Tu ktoś jest – szepnął dziadek, zatrzymując się w wąskim przejściu.

– Kto tu jest? – dobiegł z głębi głos pani Karpowej.

– To my, z dziadkiem – pośpieszyła Buba z wyjaśnieniem. – Pomyślałam, że inne kotki też lubią mleko – tłumaczyła się Buba przed niewidzialną sąsiadką.

– Ja też o tym pomyślałam – stwierdziła krótko pani Karpowa, z trudem prześlizgując się pomiędzy Bubą i dziadkiem. Po chwili wydawało się Bubie, że zostali sami. Ale nie. Koło talerzyka pełnego rybich przysmaków i miski wypełnionej po brzegi mlekiem zebrało się całe kocie towarzystwo.

– No cóż – uśmiechnął się dziadek. – Bywa, Bubo, że naprawdę zdarzają się rzeczy, których nie wyśni żaden przyzwoity filozof.

– Ale Szekspir owszem – skwitowała Buba. – *Makbet* – dodała i z przerażeniem uświadomiła sobie, że jutro czeka ją sprawdzian z polskiego.

* * *

– Dlaczego tak spąsowiałaś, Marysiu? – dziadek próbował delikatnie zagadnąć córkę, która siedziała w łudwiku w ciężkim futrze i płakała. – No, powiedz, dziecko – namawiał – jaki jest powód twojego zawstydzenia?

– Niech mi ojciec da, do cholery, święty spokój! – odezwała się matka. Choć przez łzy, to jednak dobitnie.

– Bubo, porozmawiaj z mamą. Siedzi w przedpokoju ślicznie zapłoniona i nie wie, czemu płacze.

– Mamo! – Buba z przestachem przypadła do matczynych kolan, obleczonych dżinsami. – Jesteś chora?

– To miało być turbo... – krztusiła się matka – bezbolesne, ekspresowe, z gwarancją opalenizny w kolorze świeżej brzoskwini – chlipała.

– Solarium?! – niedowierzanie w głosie Buby rosło jak temperatura w saunie.

Matka ze skrucą przytaknęła głową. Jej czerwona twarz stanowiła plastyczny dowód niepowodzenia w dziele poprawiania urody.

– Ładna mi gwarancja! – dziadek podrapał się po głowie. – Ale, Marysiu, nie jest źle – brnął, pomimo narastającego szloch córki. – Uzyskałaś efekt świeżego pomidora. To przecież też zdrowe warzywo.

Matka cudem nie zabiła dziadka wzrokiem i powróciła do rozpaczliwego szloch.

– Chyba powinnaś pójść do lekarza – zaproponowała Buba. – Zupełnie cię spaliło.

– Gdzie ojciec? – zagadnęła matka, jakby to właśnie on był specjalistą od poparzeń.

– Jeszcze nie wrócił.

– Jak jest potrzebny, to go nigdy nie ma – poskarżyła się, wpadając w kolejny atak płaczu, gdy niechący dostrzegła siebie w lustrze.

– Lepiej, żebyś trochę ochłonęła do powrotu Pawła – doradził dziadek, czyszcząc zapalką ucho. – Myślę, że jesteś zdecydowanie zbyt rumiana – oświadczył.

Bartoszoza wyjrzała z kuchni. Spojrzała na chlebobawczynię w ten sam sposób, w jaki patrzyła na nią od dwóch tygodni, i pokręciła głową. W sposobie, jakim Bartoszoza kręciła głową, przejawiała się cała jej pogarda dla spraw, które ostatnio tu się działy.

– Najlepiej się położyć z kompresem na twarzy – Buba postanowiła działać.

– Nie mam na czym.

– Przeciwnie. Wygląda na to, że wkrótce będziesz dysponować całym małżeńskim łóżkiem – dziadek był bezwzględny. – Słyszałem, jak Paweł mówił, że może nie wrócić na noc.

– Jak to na noc? – matka na moment zapomniała o poparzeniach.

– To nie ma sensu – Buba próbowała zażegnać kolejną awanturę. – Prześpij się, mamo, poczujesz się lepiej.

– Tłumaczę ci, dziecko, że to niemożliwe. Ja... Ja mogę tylko siedzieć. Cała jestem poparzona – skarżyła się, ale pozwoliła Buble przejąć nad sobą rządy. Potulnie udała się do sypialni.

– Zawsze byłaś, Marysiu, drobiazgowa – rzucił na pożegnanie dziadek – a zupełnie dobrze ci w czerwieni. Powinnaś częściej sięgać po karmin.

– Gdyby ktoś do mnie dzwonił... – zwróciła się do Buby matka – gdyby dzwonił – mówiła z coraz większym trudem – wyjaśnij, że...

– Wyjechałaś – zaproponowała Buba uczciwe kłamstwo.

– Musiałam wyjechać – uzupełniła matka i z obolałą miną zamknęła bezszelestnie drzwi do sypialni.

Do późnej nocy Buba próbowała zrozumieć postawę Lady Makbet, ale wtulona w pled patrzyła nie w tekst dramatu, tylko w lśniąca słuchawkę telefonu. Tego wieczoru milczał jak zaklęty. Nie musiała kłamać. Nikogo nie interesowało, czy jej matka wyjechała, czy spaliła się na szary proszek w kabinie solarium. Nikt nawet nie chciał zapytać, czy w domu wszystko w porządku. I o to ostatnie zaczynała mieć żal do ojca. Pomyślała też, że dorośli są bardzo dziecinni, gdy się na siebie gniewają, i postanowiła nigdy nie wyrastać z siebie do końca.

Jeżeli Buba czegoś nienawidziła, to takich poranków jak dzisiejszy. Przerazał ją sprawdzian z polskiego, puste przy śniadaniu krzesło ojca i opuchnięta twarz matki. Dziadek też nie wykazywał zwyczajowej potrzeby ingerowania w nie swoje sprawy. Siedział osowiały i zły. Bartoszoza zasłaniała sobą całe kuchenne okno. Zwykle milczała. A teraz w ciszy, jaka zawisła nad głowami domowników, jej nagle odzyskana potrzeba mówienia wprawiła wszystkich w osłupienie.

– Wymawiam! – powiedziała zwięźle, patrząc na matkę.

– No, w końcu! – uradował się szczerze dziadek. – Nareszcie się pani zdecydowała mówić! A już się bałem, że przed śmiercią nie będzie mi dane usłyszeć choć jednego wymówionego przez panią słowa!

– Wymawiam pracę – uzupełniła Bartoszoza i znowu zamilkła.

Widelec matki z brzękiem rozbił ciszę, spadając na lśniące kafelki. Matka odsunęła od siebie kawę, świeże bułeczki i konfitury. Spojrzała na Bartoszkową i wyszła. Dopiero gdy z jej gabinetu dobiegł płacz, niemal dziecinny, pełen skargi i bólu, Buba z dziadkiem też wstali od stołu.

– A jednak wolałem, jak pani milczała – oznajmił dziadek z goryczą. – Gotuje pani zdrowo, ale truciznę nosi w sobie – dokończył mściwie i zbyt głośno odstawił krzesło.

– Nie zostawi nas pani teraz, prawda? – Buba zatopiła w Bartoszkowej swe okrągłe, przerażone oczy. – Sama sobie nie poradzę – tłumaczyła przez łzy.

– Nie ty, dziecko kochane, masz sobie poradzić – Bartoszkowa zgarnęła Bubę w swój kwiecisty fartuch. – Niech inni nareszcie zaczną myśleć – dodała basowym szeptem. – I nie martw się – ucho Buby zadrżało od tajemnego zwierzenia. – Ja tylko przeprowadzam terapię wstrząsową. Inaczej to się nigdy nie skończy.

Buba wychodziła do szkoły z przeświadczeniem, że nie wszystko stracone. Zastanawiała się też, co mogło oznaczać ogólnikowe określenie „to”. Tak bardzo chciałyby nie rozumieć Bartoszkowej i nie domyślać się nawet, o co jej chodzi. Ale Buba wiedziała, co oznacza „to”, i mocno, z całej siły zapragnęła, aby „to” już się na zawsze skończyło.

* * *

– Co ona mówi do twojego ojca? – mimo że dziadek prawie leżał na drzwiach do sypialni, miał wyraźne problemy ze zrozumieniem matczynych skarg, wylewanych wraz z potokiem łez. – Pieści się jak mała dziewczynka i nic nie mogę usłyszeć – dał wyraz swemu niezadowoleniu.

Buba okupowała drugą połowę drzwi. Ona także z trudem oddzielała słowa matki od płaczu.

– Twierdzi, że ją zostawił.

– Kto? Ojciec?

– Raczej ten... młody wydawca... Na lodzie – uzupełniła po chwili.

– Była z nim na lodzie? To pewnie pomysł Mańczaków...

– W innym sensie... że ten wydawca mamę porzucił!

– Jak mógł porzucić, skoro jej nie poślubił. Przecież bym wiedział...

Buba uciszyła dziadka nerwowym gestem i znowu przywarła do framugi drzwi.

– Ma wyrzuty sumienia.

– Nareszcie! Dawno powinna je mieć....

– Ojciec ma wyrzuty – przerwała Buba – mówi, że ją zaniedbał.

– A jak miał dbać o kogoś, kto wychodzi z domu bez spódnicy i wraca nad ranem? – prawomyślność dziadka pozostawała w jawnej sprzeczności z namolnym wyławianiem sekretów alkowy.

– Teraz... mama zapewnia, że to nie był żaden flirt, tylko... tylko zwykły interes, że w ramach pracy...

– Tego już za wiele! – zatrząsł się dziadek. – Nie znoszę taniego kłamstwa. A co na to twój ojciec?

– Że mama... No nie wiem, coś, co się kończy na „iła”...

– Pewnie „przesadziła”, albo, żeby się wyprowadziła.

– Nie, raczej, że jest miła.

– Twój ojciec to ostatni pantofel na naszym osiedlu – dziadek nie mógł ukryć rozczarowania. – Gdyby słyszał, jak pan Kocoń rozmawia ze swoją żoną...

– Pan Kocoń nie rozmawia! – Bubę zabolął pomysł dziadka. – Wszyscy w bloku wiedzą, że pan Kocoń to damski bokser.

– No właśnie! – triumfował dziadek. – On ją tłucze na wszelki wypadek i osiąga najlepsze rezultaty w bloku.

– Jesteś, dziadku, potworem! – Buba zapomniała o obowiązku zachowania ciszy. – Powiedz, że tak nie myślisz!

– To Kocoń jest potworem, nie ja! – równie głośno odpowiedział dziadek. Ale odpowiedział już ojcu, który stał przy drzwiach i z odrazą patrzył na towarzystwo zgromadzone przy jego sypialni.

– Mówimy o panu Koconiu – najspokojniej oświadczył dziadek, patrząc wyzywająco ojcu prosto w oczy.

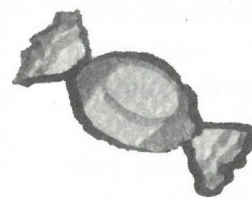
– Ale dlaczego tu? Czy nie możemy z Marysią przez chwilę porozmawiać na osobności? – skierował pełne pretensji spojrzenie również na Bubę.

– Och – dziadek próbował zlekceważyć ten zarzut. – Ostatnio mieliście same „osobności”. Dobrze wam robi nasze towarzystwo.

– Do kart! – rzucił ojciec tonem rozkazu.

Wskazał dziadkowi kierunek odwrotu i Buba po raz pierwszy zobaczyła salutującego dziadka, który po krótkim „tak jest!” odmaszerował truchtem w stronę swego pokoju. Dziadek musiał usłyszeć w głosie ojca coś bardzo ważnego, jakąś męską nutę bezwzględного nakazu. Albo po prostu ucieszył się, że ojciec nie jest znowu takim skończonym pantoflarzem. I jeszcze z tego, że z woli ojca Buba będzie musiała usiąść z nim do ogóra. Bo przyspieszając kroku, radośnie powtarzał:

– Do kart, Bubo, do kart! Chcemy czy nie, trzeba grać!



Naga królowa automobilu

– Jakie to dziwne – myślała Buba, patrząc z niedowierzaniem na roześmiane twarze rodziców. – Jest niby tak samo jak wczoraj. Ta sama kuchnia, te same konfitury na stole i podobny poranek, bezśnieżny, ale mroźny. A przecież tak wiele się zmieniło! Matka śmieje się z głębi siebie. Z tej okazywanej jawnie radości jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, ale ona wcale o to nie dba. Ojciec, nie dość, że wreszcie na dobre powrócił do rodzinnych pieleszy, to jeszcze wyraźnie matkę kokietuje. Robi chłopięce miny i głośno planuje, dokąd się wybiorą na weekend. Dziadek już wywalczył swą pulę tytoniu. Chwali twarożek Bartoszowej, co zdarza mu się raz na kilka lat. No i Bartoszowa. Choć udaje naburmuszoną, jej oczy świecą jak niezapominajki na wielgachnym fartuchu. W Buble też coś dojrzewa i śpiewa. Jakiś zimowy skowronek szczęścia. Chciałaby zatrzymać ten obraz, nagrać go na twardy dysk pamięci i odtwarzać zawsze, gdy będzie jej smutno.

– Moja charakteryzatorka, Emilka, przygotowuje ci specjalny fluid – ojciec dotknął palcem policzka mamy. – Twierdzi, że z takim retuszem będziesz mogła iść na spotkanie z samym prezydentem.

– Z prezydentem? – Buba zdrętwiała. – Przecież dziś mam sprawdzian z angielskiego! – słowik, który w niej śpiewał, umilkł jak rażony.